

Wybór

(z tomiku opowiadań „**W małym dworze**”)

Bartek Spartel

1

Rodziców kochał nad życie. Z całego serca. Za chyba wszystko.

Za to, że go urodzili i wychowywali, w miłości i względnej radości, mimo biedy, która zaglądała do ich małego mieszkania często. Za to, że miał gdzie spać i co jeść, że mógł chodzić do szkoły. Za to, że nie pili zbyt dużo. Wreszcie, za to, że nie bili go po głowie i nie gasili papierosów na jego plecach — co chwilę czytał o tym, że takie rzeczy się zdarzają.

W ogóle dużo czytał.

Rodziców nienawidził bezgranicznie. Z całego serca. Za imię.

Eryk. To wcale nie było najgorsze imię na świecie. Były gorsze — czytał o tym. Ojciec kochał staronordyckie klechdy i wikińskie bajania. Kochał je chyba nawet bardziej niż matkę. Dlatego ją przekonał. Imię nie było najgorsze, ale obdarzony gardził nim go od samego początku. Choć sam nie potrafił powiedzieć, czemu.

— Eryk, przynieś matce kartofli z piwnicy — prosił ojciec.

— Tato... — prosił cicho syn. — Nie nazywaj mnie tak.

— Jak? Eryk?

— Tttak... — błysk i grymas wściekłości. Tak rzadki u niego.

— To jak cię mam niby nazywać?

— Możesz... możesz po prostu mówić do mnie „synu”?

Poza nienawiścią do własnego imienia, Eryka cechowała jeszcze jedna bardzo charakterystyczna cecha. Czego się nie tknął, to spieprzył — jak mawiali o nim koledzy w obu szkołach, podstawowej i zawodowej. Nie było takiej rzeczy, której Eryk nie był w stanie zrobić zbyt wolno, niedokładnie lub po prostu źle. Był łamagą, ciamajdą, pokraką i najzwyczajszym w świecie beztalenciem. Dlatego prawie natychmiast przyłgnęło do niego przezwisko „Fujara”, Bardzo z tego powodu się ucieszył. Tak bardzo, że zaczął używać go jako substytutu swego imienia. Zamiast znieawidzonego Eryka. Tak narodził się szkolny, blokowy oraz osiedlowy Fujara. Który z niczym sobie nie radził i w niczym nie był dobry.

Z wyjątkiem strzelania, ale o tym nie wiedział prawie nikt.

Nikt też nie miał najmniejszego pojęcia, że całe to beztalencie oraz bycie ciamajdą i łamagą było na pokaz. Było grą aktorską. Dla kogo, dlaczego i po co — Eryk nie wiedział. Wtedy jeszcze nie...

Oprócz rodziców kochał w życiu jeszcze dwie rzeczy. Łowienie ryb i samotne długie wycieczki, piesze lub rowerowe, w odległe miejsca. Najlepiej takie, o których mało kto wiedział i w których mało kto bywał. Tam mógł sobie łowić ryby w spokoju i rozmyślać.

W ogóle dużo rozmyślał.

Oprócz imienia nienawidził jeszcze jednej rzeczy. Ludzi.

Nie, zapomniałby. Oprócz rodziców kochał trzy rzeczy. Ryby, samotność i strzelanie. Po raz pierwszy na pobliską strzelnicę ojciec zabrał go, gdy Fujara nie miał jeszcze nawet dziesięciu lat. Każda, nawet najmniejsza i najlżejsza sztuka broni była wówczas zbyt ciężka dla dziewięcioletnich chudych rączek. Mimo to, zakochał się w tym miejscu od pierwszego wejrzenia. W miejscu, zapachu, a — gdy zaczął już strzelać — również w dźwięku. Zakochał się bezgranicznie i do samego końca...

Strzelnica była jedynym miejscem, gdzie na chwilę zrzucił maszkę. Przystawał być Fajarą, przystawał grać łamagę i cieniasa.

Właściciel szybko odkrył jego talent i zatrudnił go, oczywiście „na czarno”, jako instruktora. Bez pensji, ale w zamian za możliwość ćwiczenia strzelania do woli. Dzięki temu układowi Eryk-Fujara w ciągu kilku lat osiągnął mistrzostwo. Tylko tam nigdy nie drżała mu ręka, nigdy nie wypadła amunicja, a strzały były za każdym razem oddawane z przerażającą perfekcją. Jednak owa niepisana umowa o pracę miała jedną gwiazdkę.

— Czemu? — spytał właściciel, gdy omawiali warunki pracy.

— Wie pan... — rzekł powoli tamten. — Trochę się wstydzę. No, wie pan... Koledzy... W szkole uchodzę za ciamajdę...

— Nie zauważyłem, żeby ci czego brakowało.

— No, tak, tak. Ale wie pan... — wykręcał się czternastolatek.

Fujara chciał móc wybierać sobie ćwiczących. I możliwość rezygnacji z uczenia kogoś bez podawania przyczyny. Powód był dla niego oczywisty. Nie chciał, by ktokolwiek z jego znajomych i kolegów oglądał go bez jego codziennej maski. Właściciel zgodził się. Nie miał wyboru. Do niepełnoletniego, zatrudnionego nielegalnie kursanta i tak musiał bardzo uważnie dobierać klientów.

Na początku tylko mu się wydawało, że usłyszał czyjś głos. Była sobota, koło południa, lato, słońce prażyło niemiłosiernie, a on znowu zapomniał czapki. Mógł się przesłyszeć.

— Eryku...

Nie, no. Musiał się przesłyszeć. Na tym odludziu nie było nikogo, był tego pewien. Specjalnie jechał na rowerze ponad półtorej godziny w jedną stronę, by móc spędzić czas w głuszy. I ciszy, w której nikt nie będzie mu przeszkadzał. Znał to miejsce i wiedział, że nie spotkał tu nigdy nikogo mimo, że bywał tu od lat, wielokrotnie.

— Eryku... — tym razem usłyszał to na pewno.

— Kim jesteś? — spytał cicho i powoli, po długim milczeniu.

Odpowiedział mu śmiech. Gromki i głośny, jeżący włosy na karku, mrozący krew w żyłach i zapierający dech w piersi śmiech opętanego szaleńca.

— Jestem tym, kim chcesz, żebym był... — rzekł znowu głos.

Zza pobliskiego drzewa wyszedł około sześćdziesięcioletni mężczyzna. Ubrany był w doskonale skrojony smoking i idealnie dopasowane do niego nakrycie głowy. Jego ubranie nie nosiło żadnych śladów, najmniejszego zagniecenia, czy choćby jednej igielki albo listka. Na jego czole i twarzy Fujara nie dostrzegł żadnej kropli potu, czy innych oznak zmęczenia. Co samo w sobie było niemożliwością — do najbliższej drogi, osady ludzkiej lub po prostu wejścia do lasu było z dziesięć kilometrów. Nie było możliwe, by starszy człowiek, ubrany w wiele warstw ubrania, w tym w ciemny garnitur, przeszedł taki dystans, bez śladów zadyszki, czy zmęczenia. Ani, by jego ubranie wyglądało tak, jakby właśnie wyjęto je z szafy.

— Mogę być nim, jeśli chcesz... — nieznajomy uśmiechnął się.

— Olimpiada w Jarzynowie! — wyszeptał odruchowo Fujara.

Nieznajomy wszedł za pień drzewa i rozpląnął się w powietrzu.

Z jeziora, w którym chłopak łowił ryby, nagle wynurzył się utopiec. Wynurzył się za ledwie do pasa, wspierając się na brzegu na zszarzałych, powleczonech śluzem i ociekających wodą przedramionach. Fujara wyobraził sobie, że całe jego ciało powleczone jest oślizgłą burą szarą rybią łuską i śluzem. Pomarszczone nieustannym przebywaniem w odmętach wodnych i obrzydliwie oślizgłe w dotyku. Stwór miał włosy równie brzydkie i szare, jak resztę ciała. Oplatały one jego poszarzałą czaszkę, przyklejając się do niej strąkami. Jego oczy były równie szare, choć w jaśniejszym odcieniu, ale przeźliwie puste i martwe. Z pomiędzy jego wykrzywionych w upiornym grymasie ust wystawały poniszczone zęby, między którymi nawet z tej odległości dało się dostrzec gnijące resztki żartych na surowo ryb.

Oby tylko ryb.

— Mogę być tym, jeśli chcesz... — wycharczał potwór.

— Olimpiada w Jarzynowie! — Fujara podniósł głos tym razem.

Stwór zniknął.

— Mogę...

Eryk odruchowo odwrócił głowę w stronę, skąd dobiegał głos. Anielski głos. Na polance wyciętej między dwoma strzelistymi drzewami dostrzegł kobietę o urodzie tak pięknej i doskonałej, że piękniejszej nie widział nigdy w życiu. Ani w filmie, ani w rozkładówce.

Kobieta miała ciało perfekcyjne chyba w każdym calu, rzeźbione przez samych aniołów. Dysponowała idealnymi proporcjami ciała. Jej duże, wysoko uniesione i wywołujące skurcz w kroku piersi zasłonięte były przez dywan rudych, idealnie prostych włosów, które spływały z idealnego kształtu głowy. Podążając wzrokiem w dół, za tymi kończącymi się gdzieś nad pępkiem miodowo-karmelowymi

włosami, dostrzec można było doskonałych kształtów i budowy łono, przepiękne uda, łydki i malutkie, drobniutkie, jakby niepasujące do reszty ciała stópki.

— Mogę być nią, jeśli chcesz... — zaszczębiotała dziewczyna.

— Olimpiada w Jarzynowie! — ogarniające Eryka przerażenie spowodowało, że jego głos mimowolnie przeszedł już w cichy krzyk.

Kobieta zniknęła z polany. Rozmyśla się w powietrzu, jak dym.

Tym razem nie pojawił się nikt ani nic.

— Mogę być po prostu głosem w twojej głowie, Eryku — usłyszał nagle w myślach. — Twoją szaloną wyobraźnią, jeśli chcesz.

— Olimpiada w Jarzynowie! — krzyknął głośno Fujara.

Odrzucił odruchowo wędkę, wstał i błyskawicznym ruchem odwrócił się plecami do brzegu i do tafli jeziora. Jak sprężyna. Jakby chwyciła go i bezdusznie obróciła w miejscu jakaś dziwna siła.

Tuż przed nim, niemalże na wyciągnięcie ręki, zmaterializowała się postać bez twarzy. Siedziała na wielkim głazie, kawałku moreny, który wystawał w tym miejscu ponad ziemię od dziesiątek tysięcy lat, odkąd przez tereny te leniwie prześlizgnął się jezior lodowca podczas jednego z ostatnich zlodowaceń.

Siedząca postać ubrana była niebieską, powłóczystą i niezwykle luźną szatę, sprawiającą wrażenie, jakby okrycie całego ciała wykonane było z jednego dużego kawałka materiału. Bez kieszeni, bez szwów, bez kształtów. Fujara określił w myślach odcień szaty jako „smutny”. Przywodził on na myśl tęsknotę i melancholię wywołaną w sercach wielu ludzi, gdy spoglądają oni na bezkres szarego sztormowego morza oraz na odległy horyzont, oddzielający morze od pełnego równie szarych, ciężkich od wody i nawisłych burzowych chmur. Szata oblamowana była na krawędziach lamówką o szerokości rozłożonej dłoni dorosłego człowieka, czerwoną jak krew, ale w odcieniu jasnej natlenionej krwi tętnicznej.

Szata zakrywała prawie całe ciało postaci. Fujara był w stanie dostrzec jedynie dłonie i kawałki stóp. Te zaś posiadały palce tak długie, że aż przywodziły na myśl, iż mogłoby być nieludzkie. Jednak poza nieco nadnaturalną długością, nie zauważył w nich nic dziwnego. Pięć palców, od najmniejszego do największego, paluch największych i najwyraźniej widoczny z tej odległości, płytki paznokci duże, niepomalowane, chyba zdrowe. Bez grzybicy, bez zgnilizny, którą w tych miejscach na pewno miał utopiec. Dłonie nieznanego zaskakiwały jeszcze bardziej, bo, choć trudno w to uwierzyć, ich palce wydawały się jeszcze dłuższe. Były przy tym niezwykle chude, z wyraźnie zauważalnymi gruzelkami stawów paliczkowych.

Postać w lewej dłoni kurczowo zaciskała jakiś okrągły przedmiot. Jaki, Fujara nie widział. Mógł to być kamień albo na przykład jabłko lub inny okrągły owoc. Jeśli jednak był to owoc, to wielkości małej główki kapusty — palce nieznanego były naprawdę długie.

Siedzący na kamieniu nieznanomy założył nogę na nogę w sposób, który bardziej przywodził na myśl siedzącą kobietę niż mężczyzny. Pozwalało to dostrzec pewne zarysy sylwetki i wywnioskować, że postać była niezwykle chuda, wręcz koścista. Płeć niemożliwa lub bardzo trudna do jednoznacznego określenia. Stopy i dłonie były wyraźnie męskie, taki był również głos, który Fujara słyszał do tej pory. Ale sposób siedzenia zdecydowanie przypominał kobietę.

Postać literalnie nie posiadała twarzy. Okrywający jej ciało materiał zakrywał, w postaci rozłożystego kaptura, również to miejsce, w którym normalny człowiek ma czoło. Reszty twarzy nie było widać, gdyż spod owego kaptura wylewała się złocista światłość. Złocistożółta w miejscu, gdzie powinna znajdować się głowa i twarz, przechodząca w jasną zieleń wczesnowiosennej łąki tam, gdzie zwykły człowiek miałby klatkę piersiową. Jej blask musiał być niezwykle intensywny, skoro dało się go wyraźnie dostrzec mimo otaczającej jasności letniego wczesnego przedpołudnia. Jednocześnie świa-

łość wylewająca się spod kaptura postaci była mocno przezroczysta, więc Fujara bez żadnych wątpliwości dostrzegł, że postać nie ma głowy ani twarzy. Nie miała też klatki piersiowej. Miało się wrażenie, że tylko dłonie i stopy, wystające spod modroszarego całunu, są rzeczywiste. Zaś to, co skrywało się wewnątrz było... światłością.

— Nieliczni, którzy mnie znają... — głos dobiegł z pustki pod kapturem. — ...nazywają mnie i podobnych mi Strażnikami Wiru. Nazywają mnie też czasem Wirmanem. Są też tacy, wielu, którzy nazywają nas anioła...

— Olimpiada w Jarzynowie! — wrzasnął przeraźliwie Fujara.

Tym razem dał z siebie wszystko. Przerazenie zwielokrotniło siłę jego głosu, aż echo poniosło. Nigdy wcześniej w życiu i nigdy później nie wrzeszczał tak głośno.

— O co chodzi z tą olimpiadą w Jarzynowie, do kurwy nędzy? — wycedził przez nieistniejące zęby nieznajomy z niesmakiem.

Kiedy Eryk miał trzy lata, na długo przedtem zanim został Fajarą, zdarzyło mu się kiedyś, że przez kilka wieczorów z rzędu chodził po mieszkaniu i w kółko, czasem nawet po sto razy na dzień, powtarzał ten sam wierszyk. Wierszyk, czy raczej dwuwiersz: „Warzywa i owoce bawią się na zdrowie. Olimpiada w Jarzynowie”. Jego rodzice byli wniebowzięci, bo było to niespecjalnie długo po tym, jak ich jedyny syn zaczął w ogóle mówić. Później dyskretnie wypytali się opiekunki w przedszkolu i dowiedzieli się, że był to refren popularnej wśród przedszkolaków piosenki, która właśnie akurat wtedy była „na tapecie” przedszkola, do którego chodził ich ukochany Eri.

Mały Eryk powtarzał to zdanie bardzo często każdego kolejnego wieczora. Pod koniec, po zaliczeniu kilkudziesięciu powtórek, dało się zauważyć i usłyszeć, że pada ze zmęczenia. Choć jeszcze początek wymawiał z radością, to gdy dochodził do: „olimpiada w Jarzynowie”, głos mu cichł, a ton robił się wyraźnie zmęczony.

Kiedys ojciec Eryka, śmiejąc się pod wąsem, spytał go:

WYBÓR

— Ercio, Eri... synuś... O co w tym chodzi? Przecież ty nam tu za chwilę padniesz lub zaśniesz na stojąco.

— Tatuś! — trzyletni Eryk wyprężył się jak struna, przyjmując postawę żołnierza raportującego generałowi. — Muszę to mówić.

— Musisz? Ale... czemu?

— W ten sposób przeganiam złe duchy. Przeszanę i nas dopadną.

Tym razem jednak nie działało. Magiczne słowa, w których moc, pomimo posiadania już prawie dwudziestu lat, Fujara nadal głęboko i świącie wierzył w swoim skotłowanym umyśle, tym razem zawiodły.

— A... więc o to chodzi — stwierdził sucho Strażnik Wiru, potwierdzając tym samym, że potrafi czytać w jego myślach.

Eryk-Fujara zemdłał.

3

Głos usłyszał najpierw w głowie, a potem już głośno.

— No, nareszcie!

— Nareszcie, co... — wymamrotał walcząc z niemocą umysłową.

— Nareszcie się ocknąłeś.

Fujara zerwał się na nogi, zachwiał się przed siedzącą ciągle na tym samym kamieniu i w tej samej pozie postacią, tak samo pozbawioną twarzy, i wsparł się na krzywym pniu pobliskiego drzewa.

— Nie śniło mi się... — wyszeptał najpierw przerażony.

Potem wychrypiał przez ściśnięte i wyschnięte gardło:

— Zniknij, maskarzo, przepadnij zły. Wracaj do piekła!

— Naruszyłem dla Ciebie Pierwsze Prawo Wiru... — rzekł z wyraźnym niesmakiem w głosie ten, który nazwał samego siebie Strażnikiem Wiru. — Może by tak odrobinę grzeczniej, co?

— Czego... czego ode mnie chcesz? — teraz Eryk prawie płakał.

— Chcę dać ci wybór — nieznajomy uśmiechnął się brzydtko.

— Wybór?

— Wybór, którego ze swoich rodziców zabijesz...

Później wyjaśnił mu szczegóły. Słowa padające spod wypełnionego światłością kaptura, płynące z nieistniejących lub przynajmniej niewidzialnych ust, były tak niedorzeczne, absurdalne i fantastyczne zarazem, że Fajarze nie pozostawało nic innego, jak słuchać. Z resztą... nawet, gdyby chciał, nie był w stanie zaprotestować lub przerwać mówiącemu. Był sparaliżowany strachem, porażony sytuacją, a zbieleiałe, drążące jak w febrze usta nie były w stanie wypowiedzieć ani słowa.

Według Strażnika Wiru, Fajara miał wrócić piechotą do domu, tą samą drogą, jaką tu przyjechał. Z rozlatującej się szopy przy ich starym stuletnim domu miał wyciągnąć strzelbę. Broń, której nigdy tam nie było, a która miała się tak rzekomo pojawić, gdy tylko nastolatek przejdzie przez drzwi szopy. Z tą bronią w ręku, Eryk miał wkroczyć do swojego domu. W tym momencie czas bardzo mocno zwolnić. Eryk zaś miał podjąć decyzję, wybrać jednego z rodziców, którego zabije. Następnie wycelować i strzelić.

— Od razu uprzedzam... — ten sam paskudny uśmiech. — ...jeśli nie wybierzesz lub uciekniesz po drodze, to ja ich zabiję. Oboje.

Eryk milczał.

— Jeśli wpadniesz na pomysł, by wybrać najłatwiejsze rozwiązanie i spróbujesz się zabić, to również ich zabiję... — ciągnął dalej

Strażnik Wiru. — Bo będę tam... Za twoimi plecami i będę patrzył ci na ręce, gdy będziesz dokonywał wyboru...

Fujara był absolutnie pewien, że to nie jest sen, że to wszystko dzieje się naprawdę. Nie wiedział, czemu, ale był tego pewien. Lecz jednocześnie jego umysł nie mógł ogarnąć, jak to w ogóle jest możliwe? Jakim cudem to wszystko się dzieje. Takie rzeczy przecież się nie zdarzały. Chyba, że w filmach, książkach lub... koszmarach.

— To chyba wszystko... — rzekł niby-anioł. — Pytania?

— Dlaczego... — wyszeptał Fujara ledwie słyszalnym głosem.

— Co? Nie słyszę!

— Dlaczego? — powtórzył. — Czemu ja? Dlaczego mi to robisz?

— Bo tak! — padła krótka odpowiedź. — Bo mogę! Mam wielką moc i jeszcze większą ochotę. Bo jestem skurwysynem, który lubuje się w dręczeniu ludzi. Mało kto na Ziemi wierzy w to, że aniołowie, a przynajmniej spora część z nich, to zwykłe gnoje. Chcę to zmienić.

Eryk zbladł jeszcze bardziej.

— Wybierz sobie powód, który najbardziej ci pasuje — zakończył swój krótki wywód Strażnik Wiru. — Lub wymyśl sobie własny.

— Kim ty jesteś? — spytał, dzwoniąc zębami ze strachu.

— Kim? — odparł, jakby pytał samego siebie. — Cóż... Kaszubie zwą mnie Smętkiem, sprawcą wszelkiego nieszczęścia i wysłannikiem piekieł. Inni nazywają mnie z perskiego Arymanem. Jeszcze inni — Kłobukiem, chochlikiem, diabłem, demonem lub biesem. Albo czartem.

— A... a ty? Jak... ty siebie... nazywasz?

— Już ci powiedziałem! Jestem skurwysynem.

— Nie znasz najważniejszej modlitwy ludzkiej? A tak... — wykonał ruch, jakby chciał klepnąć się w czoło, gdyby tylko takowe posiadał. — Ty przecież znasz tylko jej okrojoną wersję.

— Okrojoną?

— No, stary... jak to szło. Dajesz! Aniele boży... — zaczął.

— Aniele boży, strózu mój... Ty zawsze przy mnie stój.

— No, i tu wchodzi brakujący element — tym razem głos Strażnika Wiru przypominał zdruzzonego profesora strofującego uczniaka.

— Ja... ja... jaki?

— Prywatny skurwysynie mój, niech cię chuj!

Eryk nie odezwał się ani słowem, ale przerażone oczy nadal miał szeroko otwarte, a usta dalej rozdziawione i ułożone w „o”.

— Jesteście, ludzie, tacy ograniczeni — ciągnęła postać. — Nikt jakoś nie pojmuje albo nie chce pojąć, że moneta ma dwie strony, a każdy kij — dwa końce. Jeśli każdy człowiek żyjący na ziemi ma swojego prywatnego anioła stróża... To czemu niby nie miały mieć jego złego odpowiednika? No, wiesz... Ktoś musi odpowiadać przecież za płaczące się w najmniej odpowiednim momencie sznurówki, za spadające zniecka szklanki i wazoni i ta te wszystkie... hm... psoty.

Nagle, zupełnie niespodziewanie i jednocześnie całkowicie bezszelestnie, podniósł się z wielkiego głazu, na którym siedział. Zdecydowanym ruchem bosych stóp o zaskakująco długich palcach wykonał jeden lub dwa kroki i podszedł do przerażonego nastolatka. W zasadzie zaś — obszedł go dookoła i stanął za jego plecami.

— No, chłopcze... — rzekł klepiąc go zdecydowanie w ramię, tak jak klepie się kogoś, wyprawiając go gdzieś. — Komu w drogę...

Fujara ruszył przed siebie niepewnym krokiem.

— Nie martw się o wędki i rower. Zajmę się tym — usłyszał.

Strażnik Wiru zniknął. Rozpłynął się w powietrzu jak owa bosa dziewczyna. Lecz w uszach Fujary długo jeszcze brzmiał towarzyszący zniknięciu gromki śmiech. Gromki i głośny, jeżący włosy, mrozący krew i zapierający dech śmiech opętańca.

4

W zasadzie Fujara mógł zacząć wmawiać sobie, że to wszystko mu się przyśniło. Zbyt długo siedział na rozgrzanym słońcu bez jakiegokolwiek nakrycia głowy, wypił o jedno piwo za dużo, zamroczyło go, zemdlął i po prostu przyśnił mu się paskudny koszmar.

W praktyce nie zdążył nawet dojść do tych wniosków. Gdy tylko pierwsze nuty wątpliwości zaczęły pobrzmiwać mu nieśmiało w myślach, w jego głowie rozległ się znany już głos.

— Nic ci się nie przyśniło, mój mały Eryczku. Nadal tu jestem.

— Gdybyś zaś miał wątpliwości... — ciągnął tamten po chwili; może oczekiwał na reakcję Fujary, której nie było. — ...to włóż rękę w dziuplę pnia, który mijasz akurat po prawej...

Właśnie w tym momencie chłopak przechodził koło wypalonego pojedynczego, samotnego pnia drzewa. Pnia, bo drzewem nie można było już tego nazwać. Martwy pień, chlaśnięty piorunem, niemalże idealnie pod kątem czterdziestu pięciu stopni, gdzieś na pięciu-siedmiu metrach wysokości, poczerniały i wypalony na wylot. Dziupla przywodziła na myśl puste oko w głowie jednookiego golema.

Fujara włożył w dziuplę drżącą dłoń i wyczuł metalowy obiekt. Ze zdziwieniem wyciągnął ze środka sporej wielkości zegar. Czy to był ów przedmiot, który nieznamy zaciskał w lewej dłoni?

Był to, na pierwszy rzut oka, najzwyczajniejszy w świecie zegar. Dopiero po chwili Fujara dostrzegł istotną różnicę.

Ze zdziwieniem stwierdził, że sporą ilość takich zegarów widział w podziemiach szkoły, w której jego ojciec pracował jako stróż i złota rączka, a matka — jako sprzątaczką i pomoc kuchenna. Lecz tam nie służyły one do odmierzania czasu, tylko ciśnienia, temperatury wody. Oraz innych parametrów urządzeń koniecznych do pompowania i filtrowania wody płynącej do i z przyszkolnego basenu. Tak, jak na większości urządzeń tego typu, na trzymanym w dłoni zegarze dało się wyraźnie zauważyć, iż jedna ćwiartka okręgu oznaczona jest wyraźnym jasnoczerwonym tłem. Pozostałe trzy były białe. W ten sposób oznaczano obszar niebezpieczny — zakres mierzonej wartości, którego nigdy nie powinien on osiągnąć.

Lecz ten... hm... czasomierz, mimo że nie mierzył ciśnienia ani temperatury tylko zwykły upływ czasu, również posiadał taką czerwoną ćwiartkę. Znajdowała się ona między trzecią a szóstą godziną.

— Gdy wybije trzecia — usłyszał w myślach. — ...i mała wskaźniczka znajdzie się na początku czerwonego zakresu, czas zwolni.

— Zwolni?

— Tak... Wtedy będziesz musiał zdecydować...

— Zdecydować, którego z nich zabiję? — spytał Fujara.

— O proszę! — zaskoczenie. — Jak szybko chłopak się uczy.

5

Na klepisko stanowiące podwórze ich domu dotarł kilka minut przed piętnastą. Jeśli ktoś zastanawiał się, jakim cudem stróża oraz sprzątaczkę szkolną i pomoc kuchenną stać na mieszkanie w domu, ten szybko przestawał pytać, gdy tylko ów dom zobaczył. Była to pra-

wie-że-ruina. Dom był dziedziczony „z dziada, pradziada”, bo na kupno nowego na pewno nie byłoby ich stać. Stał w jednej z biedniejszych dzielnic miasta, w zasadzie na jego przedmieściach. Kondycja samego budynku oraz okolica, w jakiej się znajdował, z pewnością nie budziły myśli o luksusie, czy bogactwie.

Fujara podszedł coraz pewniejszym i coraz bardziej zdecydowanym ruchem do drzwi szopy. Zdjął wygięty kawał zardzewiałego drutu, który stanowił jedyne zabezpieczenie przed amatorami cudzej własności. Mocnym ruchem szarpnął za drewniane drzwi.

Rodzina Fujary była szczęśliwa, a jej członkowie dbali o siebie nawzajem. Ale byli biedni. Fujara w dzieciństwie miał tylko strzelnicę i swoje książki. Nie było komputera, Playstation ani drogich kosmetyków i ciuchów. Nawet rower, nie pierwszej już młodości z resztą, dostał w prezencie od właściciela strzelnicy. Gdy ten dość już zarobił na darmowym, za to świetnie wyszkolonym trenerze-samouku. Były więc głównie książki i czasem stary telewizor.

To właśnie z książek czerpał swoją wiedzę o świecie. To na nich budował fundamenty swoje szeroko pojmowanej filozofii życia. To właśnie Sherlock Holmes, bohater kilku książek, powiedział mu...

— Jeśli zawiodą wszystkie racjonalne rozwiązania, drogi Watsonie... — rzekł Sherlock Holmes we rusz pyknięciem z fajki.

— Co wtedy, drogi Sherlocku? — spytał w myśli doktor Watson.

— Wtedy koniecznym stanie się wybranie rozwiązania nieracjonalnego. Nie ważne, jak szalone owo rozwiązanie by nie było.

Wspomnienia rozwiały się jak dym...

W szopie — był tego pewien — nigdy nie było żadnej broni. Bo też niby czemu miałyby tam być? W szopie należącej do stróża nocnego i sprzątaczkii szkolnej. Jednak znalazł strzelbę, opartą o ścianę przeciwległą do wejścia i od razu widoczną, rzucającą się w oczy, tuż po uchyleniu drzwi wejściowych.

Nie zastanawiając się wiele, podszedł i wziął ją do ręki. Poczul znany już sobie, i chyba tylko sobie, lodowaty chłód. Promieniował on — pomimo wszechogarniającego upału — od stalowej lufy strzelby, przez trzymającą ją dłoń i rękę, na całe ciało.

Broń rozpoznał natychmiast mimo, że trzymał ją w ręce może raz, może dwa razy w życiu. Nie była to broń zbyt popularna w Polsce. Marlin Model 1970. Choć mający ponad stuletnią historię, produkowany, po licznych modyfikacjach, do dnia dzisiejszego. Z charakterystyczną dźwignią umieszczoną przy osłonie spustu, wymagającą znanego z wielu filmów równie charakterystycznego ruchu ręki, by załadować nowe naboje do komory lufy, zaraz po oddaniu strzału. Kaliber 9,65 milimetra, prawie trzy kilo wagi. Złamał strzelbę i przekonał się, że załadowana jest ona amunicją typu .357 Magnum.

Szopa była na tyle przestronna, że mógł spokojnie przyłożyć strzelbę do oka, przymierzyć się, a nawet wykonać półobrót nie odkładając broni od oka. Leżała świetnie, trzymało się ją przyjemnie.

Wyszedł, trzymając strzelbę przy nodze. Ruszył do domu.

6

Ruchy miał nadal pewne i zdecydowane, ale mętlik w jego głowie nie zmniejszył się nawet na jotę. Bo też i jakże miał się zmniejszyć, skoro niespełna dwudziestoletniego gówniarza jakaś tajemnicza siła postawiła przed wyborem, którego ze swoich rodziców ma zabić. O co w tym wszystkim chodziło? Co to za makabryczny żart, jeśli był to żart? Czy to dzieje się naprawdę? Czy to nie jest sen?

Wszedł do domu. Wtedy trzy rzeczy wydarzyły się jednocześnie.

Najpierw zobaczył zaskoczone, wystraszone, a może nawet przerażone twarze obu jego rodziców. Dom był stary, budowany na modłę sprzed stu lat. Ledwie trójizbowy, bez cudów takich, jak wiatrolap. Bezpośrednio z ulicy wchodziło się do pokoju gościnnego, do którego przylegała od przodu kuchnia i łazienka, a po bokach dwa pokoje — jego i sypialnia rodziców. To dlatego dostrzegli go natychmiast, gdy tylko przekroczył próg.

— Ery... — zaczął ojciec.

W domu szanowali się i respektowali swoje prośby. Ojciec nie nazwał go tym imieniem od lat. Ale teraz nie miał to znaczenia. Jeśli jakimś cudem miało, to Fujara nie zwrócił wtedy na to uwagi.

Drugą rzeczą, która wydarzyła się jednocześnie, to wybiecie na zegarze godziny piętnastej i prawie zupełne spowolnienie czasu. Na obu zegarach — i tym w pokoju gościnnym i tym spoczywającym ciągle w kieszeni chłopaka. Tym, z czerwoną ćwiartką. Czas spowolnił chyba stukrotnie. Dawno nie używane przez ojca jego własne imię zaczęło wyciągać się mu w uszach. Najpierw do sylab, a później do pojedynczych głosek. E... r... y... k... u...

Trzecią rzeczą było nagle pojawienie się za jego plecami Strażnika Wiru. Fujara wyczuł wyraźnie i bezbłędnie, że stanęła za nim znienawidzona przez niego postać mimo, że ponownie nie usłyszał żadnego dźwięku ani nie poczuł nawet drgnienia powietrza.

— I co, Eryku? — spytał głos, w którym nie było już nawet cienia szaleństwa, czy bełkotu spitego sztubaka. Była za to ciekawość, mieszająca się z napięciem i wyczekiwaniem. — Wybrałeś?

Nie, Fujara ciągle jeszcze nie dokonał wyboru. Ciągle jeszcze w głowie szalało mu tornado błyskawicznych myśli i sprzecznych decyzji. Zaczął jednak powoli, bardzo powoli, jakby dostosowując się do zwolnionego czasu, obracać się w stronę nieznanego, stojącego cały czas i bez ruchu za jego plecami.

Postać bez twarzy patrzyła wprost na niego. Fujara wiedział to mimo, że nie miała ona głowy, a on sam nie patrzył na wprost. Spuścił wystraszony wzrok i spoglądał teraz wzdłuż strzelby. Ta zaś, wycelowana w kostkę Strażnika, leżała swobodnie w jego dłoni.

I wtedy w głowie usłyszał jeszcze jeden głos, zupełnie inny.

— I co teraz, drogi Sherlocku? — spytał doktor Watson.

— Najbardziej nieracjonalne wyjście... — wyszeptał Fujara.

— Co? — spytał, zbity nieco z pantałyku Strażnik Wiru.

Fujara chwycił strzelbę najpewniejszym ze swych chwytów, uniósł lufę w górę, ale tylko nieznacznie. Tak, by ruch ten nie wzbudził żadnych podejrzeń, a gdyby nawet takie się pojawiły, to by był na tyle krótki, by ewentualna reakcja nie zdążyła nastąpić.

Kiedy tylko strzelba wskazała kolano postaci, nacisnął spust.

Gdyby nieznanomy stojący przed nim miał twarz, to jej usta prawie na pewno wygięłyby się teraz w wielkie „o”. Tego chłopak był pewien. Nawet jednak pomimo braku twarzy i wyraźnych oznak zaskoczenia, postać zareagowała odruchowo. Tak, jak reaguje w takich sytuacjach zwykły człowiek. Strażnik zgiął się w pół. Chude, kościste i posiadające niezwykle długie palce chwyciły się za udo, nieco powyżej zranionego kolana. Spod kaptura doleciało wycie bólu zmieszanego z ogromnym zaskoczeniem.

— Wybieram ciebie... — wycharczał Fujara.

Wyrzekł to głosem dobywającym się z ponownie zaciśniętego gardła. Tym razem dławiała go wściekłość, nie strach. Wyrzekł to Fujara, który na krótką chwilę znowu zrzucił maskę.

— Wracaj, skąd przybyłeś, skurwielu!

Uniósł czubek strzelby jeszcze trochę wyżej, mierząc w świetlistą pustkę w miejscu twarzy i naciskając spust po raz drugi. Jego ręka natychmiast odruchowo powędrowała do dźwigni repetującej, by załadować naboje, ale kolejne strzały okazały się zbyteczne.

Strażnik Wiru zniknął. Tym razem jednak nie rozmył się, jak dzinn, w delikatnym powiewie dymu. Tym razem jego postać eksplodowała. Dosłownie rozerwała się na cząstki, które zaraz zniknęły. Towarzyszył temu nie śmiech, ale przerażony i zaskoczony wizg.

— Chłopcze? — dobiegło zza jego pleców. Głos ojca.

Więc jednak nie nazwał go zniechęconym imieniem.

Fujara odwrócił się na pięcie, z powrotem twarzą do pokoju goscinnego. Ze zdziwieniem odkrył, że nie trzyma w dłoniach żadnej strzelby. Czas również płynął normalnym tempem. Jego nieco już zaniepokojeni rodzice zastanawiali się, czemu ich syn wszedł przez drzwi wejściowe i za kilka minut zamarł? Bez słowa, w milczeniu, bez ruchu i w pół kroku.

Eryk, nienawidzący tego imienia od lat, oraz podejrzewany przez wszystkich kolegów o bycie skrajnym łamagą, ćwokiem i beztalenciem, pozwolił sobie na luksus, by zemdleć drugi raz tego dnia.

7

Sarkastyczny głos dobiegał znikąd i zewsząd jednocześnie.

— Eksperymentów się mu za chciało... Dureń jeden!

— Gdzie... gdzie jestem? — spytał skołowany Strażnik Wiru.

— W Przedpokoju, do diabła rogatego! — odpowiedział ten sam skrzeczący i nieprzyjemny głos. — Gdzie miałbyś niby być? Ludzie nazywają to czasem czyścem, ale tego nie muszę ci chyba mówić, co?

— Nie musisz?

Odpowiedział mu poirytowany syk wciąganego powietrza.

— Pytam, bo oberwałeś dwie kulki, a zachowujesz się tak, jakby ktoś dzielił cię w ten pusty i głupi łeb solidnym konarem drzewa.

Pewne fakty zaczynały już do niego wracać, pewne zaś stanowiły ciągle dziurę w pamięci. Przypomniał sobie już, czym jest Przedpokój i w jakim celu się go wykorzystuje, choć nie wiedział, czemu się w nim znalazł.

— Czemu tu jestem?

— Chyba jednak mocno oberwałeś w łeb — zaskrzeczał tamten.

— Czy mógłbyś przestać pieprzyć bez sensu, a zamiast tego zacząć odpowiadać na moje pytania? — poirytował się nieco.

Po chwili zaś dodał:

— Najlepiej zaś, gdybyś opowiedział mi wszystko od początku.

— Od początku, mówisz?

Wiedział już, że tamten też jest Strażnikiem Wiru, równym mu rangą, nie lubiącym go przy tym. Pozwolił sobie więc na odrobinę zuchwałości, bo z odmętów pamięci wracało do niego, że też niezbyt przepadał za tą zgrzybiałą skrzeczącą niby-anielską pierdołą.

— I w skrócie, jeśli można prosić...

Tamten stęknął ze słabo hamowanej złości. Ale zaczął.

— Pracujemy w laboratorium.

— Jakim?

— Boże... Laboratorium Analiz i Badań Skrajnych Mechanizmów Zachowywania się Ludzi. Chciałeś ciut poeksperymentować, bęcwale!

— Jak?

— Zachciało ci się złamać Pierwsze Prawo Wiru.

— Pierwsze Prawo Wiru, które mówi, że...

— Które zabrania, by ktokolwiek z żyjących ludzi mógł kiedykolwiek zobaczyć Strażnika Wiru.

— Acha, i co dalej?

— I nic dalej, bęcwale! Zapomniałeś przy tym, że jeśli łamiesz to prawo, jeśli przechodzisz na chwilę do widzialnej warstwy świata

WYBÓR

ludzi, to jednocześnie rezygnujesz ze wszystkich swych atrybutów Strażnika Wiru. Stajesz się wrażliwy, czujący i... śmiertelny.

— I to już wszystko?

Odpowiedziała mu krzywa mina. Po chwili powiedział powoli:

— To, co zrobiłem... było chyba trochę głupie?

— Nie, skądże znowu.

Niedawny dręczyciel Fujary pomyślał chwilę. Potem rzekł:

— Idziemy może na piwo?

— Ba...

K O N I E C

To pierwsze z — mam nadzieję! — wielu opowiadań i historii osadzonych w świecie Wiru, wśród Strażników Wiru. Jest, jak na moje standardy, wyjątkowo krótkie.

Przy opisie postaci Strażnika Wiru inspiracją był dla mnie obraz „Bez tytułu”, olej na płótnie, którego autorem jest Krzysztof Heksel. Jego prawdopodobny oryginał — oraz wiele innych obrazów, rzeźb oraz dzieł świetnych polskich malarzy-impresjonistów — miałem przyjemność oglądać w Ochorowiczówce, w Wiśle, w lipcu 2020 r.

Bartek Spartel

bartek@spartel.eu

Zabrze, sierpień 2020 r.

Tekst ma 32 548 znaków ze spacjami.

Więcej moich opowiadań znajdziesz na: <https://www.spartel.eu/>.